

## 2.

Nie interesuje mnie już nic. Tylko bieg. Tylko instynkt ucieczki. Możliwie jak najszybciej przez ośnieżone poszycie. Pędem przez gęsty i odrętwiały mrozem las. Pojedyncze gałęzie drzew boleśnie ranią mnie w twarz, ale nie przerywam biegu, choć czuję, że opadam z sił. Zaciskam wargi do krwi, bo nie mogę teraz upaść. Mobilizuję wszystkie swoje siły. Wtem w moich oczach pojawia się walka, strach i dzikość, wyszczerzam kły, a pazury wydłużają się i wyostrzają. Przyspieszam bieg, bo ciało powoli osiada na czterech kończynach i wydłuża się. Teraz z gibkością przeciskam się pod niższymi gałęziami świerków. Ani na chwilę nie zwalniam. Wyrastająca na grzbiecie gruba ciemnobura sierść chroni mnie przed zimnem

i wilgocią. Rozkołatane serce każe mi wciąż uciekać, a skośne oczy nie są już jedyną busołą, bo wyostrzający się z każdą sekundą węch wskazuje bezpieczne trakty możliwej ucieczki. Moje niezłomne i silne ciało pędzi teraz z gracją i łatwością po leśnych ścieżkach, które doskonale rozumiem, i już wiem, dokąd mogą mnie doprowadzić. Z każdą chwilą dociera do mnie, że udało mi się uciec. Czuję wolność i szczęście. Spontanicznie daję susa w większą śnieżną zaspę i z radością zamiatam ją puszystym ogonem. Biegnę dalej, w głąb lasu, gdzie nagle nieruchomieję i wydaję z siebie oszałamiający mnie samą krzyk siły. Dwa kilometry dalej myśliwi przystają, słysząc donośne i przerażające wycie wilka. Zrezygnowani zwracają do swojej osady.

Pismo z urzędu przyszło dwudziestego trzeciego grudnia, ale pani Teresa go nie otworzyła. List przeleżał do trzeciego stycznia na lodówce, razem ze świątecznymi pocztówkami. Już czwartego stycznia pojawili się więc przed naszym blokiem w obstawie dwóch strażników miejskich. Z zaaferowanymi minami, w sztywnych futrach i kożuchach wdrapywali się po schodach, sapiąc i coś tam mamrocząc o teczkach, wezwaniach i protokołach. Przerażony ojciec szarpał się ze mną w przedpokoju, żebym nie wychodziła, ale i tak wyszłam.

– Na trzecim to już tylko Włodek z mamą – mówię, zagradzając im drogę, a oni przystają z zaróżowionymi od mrozu gębami i zioną taką niemą urzędniczą nieprzychylnością.

– Proszę nie utrudniać – mówi do mnie puciołowaty strażnik, a tamci w kożuchach skupiają się ciasniej i zasłaniają czarnymi teczkami.

Jedna taka w futrze z cienkimi ustami spogląda na tabliczkę na drzwiach mojego mieszkania.

– A, to ta jest – mówi. – Tfu, pisarka! – prychna, a pozostali wybuchają śmiechem, patrząc z politowaniem na moje papcie w kształcie reniferów.

– Niech się pani wreszcie chwyci poważnego zajęcia, a nie tak naraża urząd pracy na zbędne wydatki. Wstydu pani nie ma, że samorząd naraża? – atakuje mnie niski chuderlak w grubych szklach. – Ten pan, ta pani i tamci państwo płacą za pani fanaberie – dodaje, wskazując najpierw na mojego bladego ojca stojącego w drzwiach, a potem na grupę sąsiadów, którzy stłoczyli się już na schodach, węsząc sensację.

– Dokładnie, czy tak postępuje prawa obywatelka? – przytakuje tamta w futrze.

Zaciskam usta.

– No, a teraz proszę nie utrudniać – przesuwiają mnie strażnicy.

Potem łomot do drzwi na trzecim, pani Teresa otwiera, bo już wie. Wczoraj znalazła kopertę z pismem z urzędu.

### 3.

– Ale jak to tak go zabrać? Niby dokąd? Ale że jemu tu źle? – Siedzimy z panią Teresą na tapczanie w gościnnym. Trzyma urzędniczą decyzję w jednej ręce, drugą pali papierosa i z nerwów notorycznie nie trafia do kryształowej popielniczki. – A jak jemu tu jest źle, to niby tam mu będzie lepiej? – Przerażone oczy pani Teresy przewiercają mnie na wylot i nie umiem nic powiedzieć. – Kto wpadł na taki pomysł, że jemu tam będzie lepiej? No kto? Czy kto rozmawiał ze mną? Z Włodkiem? – Znow zaczyna płakać, a potem obciera nos wierzchem dłoni i śmieje się nerwowo. – Już on by im powiedział! Pogadali by sobie z nim, że cacy-cacy! Pogadali by sobie, jak mrówka z mrówką gada! – kończy z furią, zrywa się z tapczanu,

story w oknach takim kijem drewnianym poprawia. Potem siada i znów apatycznie: – Ale jak to tak go zabrać? Niby dokąd? Ale że jemu tu źle?

Wstaję, bo nie mogę. Włodek w pokoju obok coś tam sobie majsterkuje na deseczce, gwoździe wbija młotkiem, potem obcęgami je znów wyciąga. Zaaferowany wsunął język w kącik ust. Chyba nie wie, co się stało. Wracam na tapczan, a pani Teresa odpala kolejnego papierosa.

– No ale co tam dokładnie napisali? – pytam.

– Że niedostateczna opieka, brak dozoru, narażanie na niebezpieczeństwo. Że nie jest tu ze mną bezpieczny, rozumiesz? Że ja normalnie wyrodna matka jestem!

– I coś jeszcze?

– I jest coś jeszcze! Brak perspektyw rozwojowych oraz lekarskiej opieki specjalistycznej, bałagan w domu. Patologiczny nieporządek! Kurz na meblach, zużyte papierowe kubeczki na parapecie. I „Niebieską Kartę” nam założyli.

– Dlaczego?

– Że niby przemoc wobec chorego syna stosuję.

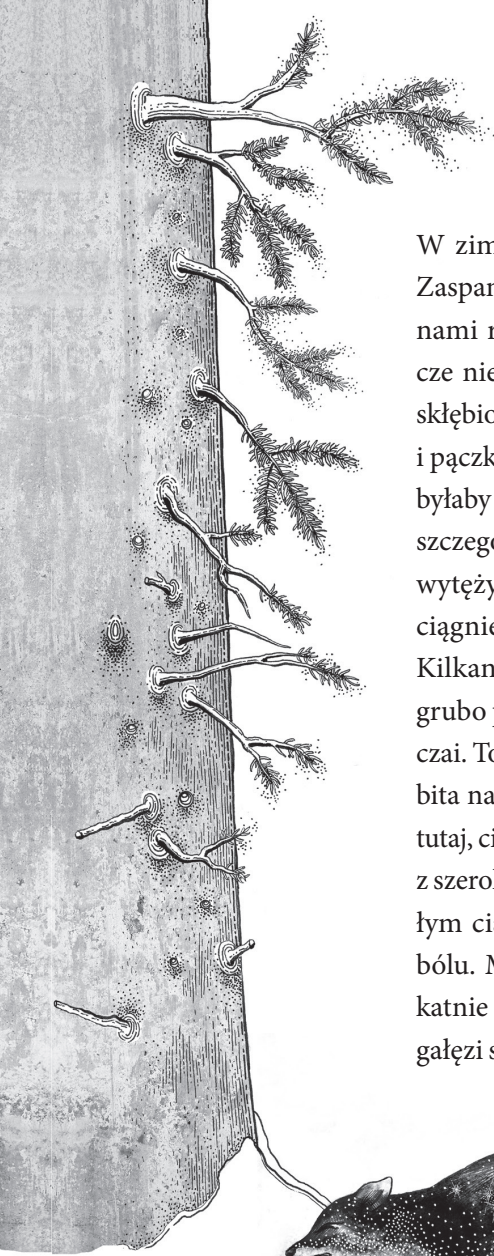
– Niemożliwe. Pani?

– Tak, ja. – I znowu zaczyna łkać, ledwo łapiąc oddech. – Donieśli. Ktoś doniósł, że przemoc stosuję. Donieśli na mnie sąsiedzi anonimowo do MOPS-u... Taka potwarz... Taki ból... Straszny. Do Reichu jeździli wujowie, mówię: i ja pojedę, do tej mizernej renty Włodka dorobię. Miało być nam trochę lepiej. O Boże, o Boże Przenajświętszy! O Matko, o Matko Boska! Gdybym wiedziała, gdybym ja wiedziała!

Pani Teresa klęczy w gościnnym, załamując ręce, a łzy kapią jej na sukienkę. Włodek za ścianą zbija drewniany krzyżyk. Szumi śnieżycą za oknami.

#### 4.

W zimowym lesie zaczyna się czas cudu. Zaspane strzeliste sosny podtrzymują koronami rozgwieżdżone niebo. Księżyc, jeszcze niezdecydowany, chowa się za kurtyną skłębionych chmur. Trwa niezmacona cisza i pączkujące oczekiwanie. Biel śniącego lasu byłaby nieskazitelna, gdyby nie jeden drobny szczegół – krwawe ślady łap na ściółce. Gdy wyteżyc wzrok, można zauważyć, że trop ciągnie się w głębinę splątanych krzewów. Kilkanaście kroków dalej, pod świerkiem grubo przysypanym białym puchem, coś się czai. To cierpiący w milczeniu lis. Łapa przebita na wylot potrzaskiem. Doczołgał się aż tutaj, ciągnąc za sobą żelazną pułapkę. Czuwa z szeroko rozwartymi powiekami, a jego wątłym ciałem raz po raz wstrząsają drgawki bólu. Mokra i oblepiona krwią sierść delikatnie paruje na mrozie. Wtem powyżej, na gałęzi sosny, ląduje sowa. Lis już nie reaguje,



sparaliżowany zagląda w mrok, bo za chwilę ma nadejść jego koniec. Zza chmur wreszcie wychodzi księżyc w pełni i oświetla sówę niczym snop światła z reflektora. Spod piór ptaka wyrastają dwie obute nogi, a rozłożyste skrzydła zamieniają się w pelerynę opadającą na długie kożuch. Postać sprawnie schodzi z drzewa i mocniej naciąga kapucę na głowę. Nie widać jej twarzy. Gdy zbliża się do lisa, ten ostatkiem sił rzeźbi stłumionym warknięciem, ale już nie ma siły, by gryźć. Opada osłabiony, a wtedy postać uwalnia łapę z potrzasku i ją uzdrawia. W pełni zdrowe zwierzę w oszołomieniu odskakuje kilka susów w bok i się zatrzymuje. Nim lis ucieknie w gąszcz lasu, zmierzą się spojrzeniem. Po chwili rozejdą się każdy w swoją stronę.

Pani Teresa zabarykadowała się w mieszkaniu z synem.

– Ale dlaczego? Dlaczego? No mówcież dlaczego? Bo tak? Bo tak sobie wymyśliliście, że mi dziecko odbierzecie? – krzyczy do urzędników z balkonu, stojąc na mrozie w samej podomce i pantoflach.

Kiedy pukają do jej drzwi, udaje, że nikogo nie ma w domu. Dlatego wzywają psycholog, która przez drzwi odkrzykuje: a to, że trzeba zabrać Włodzimierza na obserwację psychiatryczną, a to, że sprawa w sądzie rodzinnym o umieszczenie Włodzimierza w domu opieki, a to, że znów jakieś niepodważalne dowody i dokumentacja sprawy, a to w końcu, że może i Teresę na obserwację psychiatryczną, skoro tak się zachowuje.

Na to pani Teresa przeciąga szafę pod drzwi wejściowe. Dlatego też urzędnicy dzwonią po policję, straż miejską, a na koniec straż pożarną. I po strażackiej drabinie na trzecie piętro poczynają wspinać się z niezachwianą powagą, dzierżąc wezwanie do sądu rodzinnego, ekspertyzy i inne papiery.

Całe osiedle zbiegło się pod nasz blok, a za ludźmi też lokalne media. Widzę, jak Zielony, schowany za śmietnikiem, czyha z łufą

aparatu wymierzoną w okna mieszkania pani Teresy. Niechby jeszcze raz wyszła półgoła na ten balkon, tyle już dobrych zdjęć nastrzelał, że w tym miesiącu na pewno będzie premia.

– Niech mnie ojciec puści!

– Siadaj, nigdzie nie idziesz – grzmi ojciec i sadza mnie po raz kolejny na taborecie w kuchni.

Matka nerwowo pali papierosa, spozierając przez okno na nie-malejące mimo silnego mrozu zbiegowisko pod blokiem. Gotuje się we mnie złość, wełniana czapka gryzie w czoło, spościłam się już pod zimowym płaszczem.

– Niech mnie ojciec puści, do jasnej cholery! – drę się.

– Po moim trupie. Zdejmuj to! Zostajesz w domu z rodziną. Tu jest twoja rodzina, rozumiesz? Nie tam, nie tam! – Ojciec wymachuje jedną ręką w kierunku okna, a drugą ciągnie mnie za rękaw płaszcza.

– Gdzie oni tego Włodka wywiozą? Pójdę, dowiem się – mówię targana w obie strony przez rodziców, którzy próbują rozebrać mnie z zimowych szali i swetrów.

– Nigdzie nie pójdziesz, bo i na nas co znajdą – odpowiada wzburzony ojciec. Widzę, że płacze.

Pod wieczór udaje mi się uciec, kiedy rodzice zapamiętałe kłóć się w kuchni o jakieś dawne sprawy, teczki i inne tajne dokumenty. Po klatce szybko, nadeptując na linie, nie zważając na nie. A potem po schodach, ktoś za mną woła, na parterze pies gwałtownie poszczekuje. Wybiegam przed blok, uderza mnie mroźne powietrze, mijam radiowozy i co wytrwalszych gapiów. Sąsiadka z pierwszego, owinięta w grubą chustę, łapie mnie za rękaw i pyta wzburzona:

– Panienko, i kto to takie cyrki wymyśla?

– Nie wiem, ale się dowiem – odpowiadam pospiesznie i pędzę w kierunku pętli tramwajowej. Wiem, że ojciec będzie mnie gonić.